

Opowieść Świąteczna według Siuksów, czyli skutki jedzenia trawy

25 grudnia 2021

„Wesołych Świąt!” – życzyli w Wigilię chrześcijańskiego Bożego Narodzenia strażnicy więzienia w Mankato, zapyziałego miasteczka w Minnesocie, 38 Indianom ludu Siuksów z plemienia Dakotów, skazanych na śmierć przez powieszenie. Był rok 1862 i naprawdę wielki dzień: w zamian za zgodę na ochrzzczenie, więźniowie mogli spotkać się ostatni raz ze swymi rodzinami, wcześniej zakładnikami armii Stanów Zjednoczonych.

Mały Kruk, wódz Dakotów, zamordowany przez osadników w rok po powstaniu

Tych rodzin nie przyszło wiele, prawdę powiedziawszy, gdyż część z nich już nie żyła, zabita siekierami przez białych kolonistów, a część po prostu nie zdołała dotrzeć, bo nic nie wiedziała o zezwoleniu władz więziennych. Chrzcziny, które nastąpiły w pierwszy dzień Świąt, wynegocjowane z radością przez trzech duchownych (dwóch protestantów i katolika) na znak zwycięstwa chrześcijaństwa i narodzin Jezusa, nie przebiegły jednak tak radośnie, jak oczekiwano. Owszem, Indianie dali się pokropić wodą przez „białych czarowników”, którzy nadali im nowe, biblijne imiona, ale obojętnie, bez spodziewanego entuzjazmu. Dwóch nawet w ogóle nie dało się pokropić, potwierdzając swe diabelskie pochodzenie.

O takim pochodzeniu skazanych była przekonana biała ludność miasteczka i zawiedzeni farmerzy z okolic, którzy liczyli, że zapowiadane widowisko będzie większe: w końcu w pięciominutowych procesach skazano na śmierć 303 Dakotów. Ale prezydent Abraham Lincoln, któremu w tym momencie zostały niecałe trzy lata życia, zanim go nie zabił w teatrze obrońca niewolnictwa, prowadził wojnę secesyjną na południu i nie

chcąc niepotrzebnie angażować wojska w tłumienie kolejnego indiańskiego powstania, ułaskawił aż 265 skazanych, pod pretekstem nie znalezienia przy nich żadnych skalpów. Pozostałych 38 spędziło noc z Wigilii na dzień chrztu 25 grudnia wśród odgłosów budowy olbrzymiej szubienicy na więziennym dziedzińcu. Było to prawdziwe dzieło sztuki ciesielsko-inżynierskiej.

Trzeźwe spojrzenie

Wojskowi cieśle nie wyobrażali sobie, że budują coś, co pozostanie narzędziem rekordu Stanów Zjednoczonych w zbiorowych egzekucjach sądowych, niepobitym do dzisiaj. Widzieli wtedy przed sobą dalsze, obiecujące perspektywy, choć nie bardzo mogli sobie poradzić z konstrukcją w Mankato. Siuksów miano powiesić zaraz po chrzcinach, by trafili przed oblicze św. Piotra jakby ze świeżutkim paszportem, nieskażonym grzechem, ale trzeba było to przełożyć o 24 godziny, bo były problemy z ustawieniem mechanizmu zapadni, przewidzianej dla 40 osób tak, by wszyscy zawisli jednocześnie, widowiskowo, gdyż miały przyjść „tysiące ludzi”. Mimo, że dwie pętle pozostały bez przydziału, platforma wyglądała imponująco: całość sprawiała wrażenie rodzaju choinki, na której wystarczy powiesić ozdoby, by zacząć świętowanie.

Ucieczka rodzin białych kolonizatorów w czasie powstania Szeryf Mankato, Joseph F. Brown, z powodu trudności technicznych wyznaczył egzekucję na drugi dzień Świąt, na 10 rano. Nieoczekiwane opóźnienie wyraźnie przerzedziło publiczność, ale i tak widzowie, oddzieleni od mega-szubienicy szeregami żołnierzy, dopisali. Najpierw zobaczyli oni wyprowadzanych z więzienia skazańców, prowadzonych z workami na głowach i związanymi rękoma. Rozległy się pierwsze gwizdy, lecz jakoś ucichły, bo więźniowie, chyba dla dodania sobie odwagi, zaczęli śpiewać jakąś „mrukliwą”, jak to określili reporterzy, indiańską pieśń, zamiast kolędy, jak przystało na

chrześcijan. Nieoczekiwanie widownia zamilkła, co mogło być spowodowane prewencyjnym zakazem sprzedaży alkoholu w całej okolicy, wprowadzonym przez władze.

Hi-yi-yi

Przejęci żołnierze pomogli ludziom z workami na głowie wejść na platformę i ustawić się w odpowiednich miejscach, sprawnie założono im pętle, a księża zaczęli modlitwę, gdy Indianie znowu zaczęli śpiewać, rytmując to okrzykami „hi-ji-ji”, co jakiś tłumacz wyjaśnił: była to „pieśń śmierci” Dakotów. Zirytowało to duchownych i samego szeryfa Browna, który kazał skazanym się zamknąć i wskazał na doboszów. Zagrali oni trzy razy rodzaj krótkiej, wojskowej uwertury, po czym szeryf, prawdziwy dyrygent, wskazał na obywatela stojącego z wielkim nożem, który miał przeciąć sznur, tylko jeden, by wszyscy skazańcy mogli zadyndać za jednym zamachem. Wybrany obywatel był jedną z ofiar zbuntowanych Dakotów, nie konkretnie tych na szubienicy, ale jednak takich, którzy napadli na jego kolonialny dom i puścili go z dymem.

Niestety, obywatel, jako amator, nie miał wprawy, sznur był gruby i przecinanie szło mu wolno: Dakotowie zaczęli wtedy wykrzykiwać swoje indiańskie imiona, zamiast nowych, chrześcijańskich, co jeszcze bardziej zirytowało duchownych, wojsko i widownię. Dwóch, czy trzech skazańców, zdołało nawet uwolnić ręce i zedrzeć z głowy worki. Podali dłonie sąsiadom, gdy wreszcie mechanizm zadziałał. Wyszło przy okazji, że ktoś chciał zaoszczędzić, mocując słabe sznury – dwóch Siuksów po prostu się urwało i trzeba było ich zadusić na zmarzniętej ziemi. Dopiero o 10.10 szeryf ogłosił śmierć wszystkich i w końcu rozległy się wesołe okrzyki triumfu wśród widowni. Trupy ułożono ładnie na ziemi, by wszyscy mogli je obejrzeć z bliska, a pod wieczór wywieziono je nad Blue Earth River, by wrzucić do dwóch dołów pod szeregiem wierzb. Tak skończyły się Święta w Mankato.

Weź kredyt

Stan Minnesota leży na samej północy środkowej części USA. Graniczy z Kanadą, więc ulegał wpływom francuskim: niektóre nazwy dopływów głównej rzeki stanu, od której wziął swą nazwę, do dziś są francuskie, choć bywają dziwaczne – raz przyziemne (jak Kartofel), raz tajemnicze (jak Mówiące Jezioro). Wódz Siuksów -Dakotów, którzy latem 1962 r. wszczęli powstanie przeciw kolonizatorom, przedstawiał się białym jako Le Petit Corbeau (Mały Kruk – Taojateduta), kiedy 11 lat przed wesołymi Świątami w Mankato, wraz z innymi wodzami podpisywał z kolonizatorami traktat o podziale Wielkich Równin i odszkodowaniach. Biali Amerykanie zaprosili wcześniej wodzów do Waszyngtonu, który zrobił na nich takie wrażenie, że oddali 90 proc. indiańskich ziem. Sam stan Minnesota stał się więc domeną białych, oprócz części doliny rzeki Minnesota.

Ludobójstwo na Indianach północnoamerykańskich było wtedy już tak zaawansowane, że wielu wodzów uważało swą sprawę za definitywnie przegraną: traktat z 1851 r. miał pozwolić im przetrwać. Stracili swoje ziemie i łowiska, ale mieli za to dostawać pieniądze z Waszyngtonu, by mogli przez 50 lat kupować żywność oraz tanią wodę ognistą w sklepach i składach należących do białych. Rzeczywiście w dolinie Minnesoty pierwsze dwa lata minęły jako tako bez problemów. Ale potem wszystko potoczyło się jak w american dream: najpierw w ich dolinie zaczęli pojawiać się biali osadnicy, by budować swe osiedla i żadne skargi nic nie dały. Jednocześnie federalne biuro ds. Indian zauważyło, że w sumie jest zbyt łaskawe i zaczęło zmniejszać „indiański kredyt” dla właścicieli sklepów, a nawet zapominało dać jakikolwiek.

Obóz internowania rodzin zbuntowanych Siuksów w Pike Island, Dakota

Problem trawy

Na cztery lata przed pamiętnymi Świętami w Mankato, rząd w końcu zareagował na skargi Małego Kruka i innych lokalnych wodzów: tak okroił im dolinę, że stała się rezerwatem i już nie było gdzie polować. Już w tym czasie całe rodziny umierały z głodu, ale sklepikarze, którzy mieli dostawać traktatowe pieniądze „na Indian” rozkładali ręce. Każda zima stała się klęską głodu. Owszem, pod tipi Dakotów rósł gniew, a gdy znowu poszli do rządowego agenta Andrew Myricka po traktatowe pieniądze, poradził im, żeby „jedli trawę, jeśli są głodni”. Pewnym problemem była ciężka zima i brak dostępu do trawy, ale potem wyrósł nawet szczaw i Siuksowie, choć zmniejszeni o połowę, dotrwali do lata 1862 r. Był piękny sierpień. Minęły trzy dni, od kiedy w dalekiej Polsce pewien Polak doniósł na policję, że Jarosław Dąbrowski szykuje jakieś powstanie (styczniowe), aż go aresztowano, gdy rada nielicznych już starszych Siuksów z doliny Minnesoty niespodziewanie i natychmiast postanowiła wejść na ścieżkę wojenną.

Nikt rozsądny oczywiście nie mógł zrozumieć, dlaczego tak się stało. Przeważała w końcu opinia, że „dzikim” całkiem poprzewracało się w głowach od amerykańskiego dobrobytu – po prostu złośliwie oszaleli. Faktycznie tak to wyglądało: pierwszy atak z 17 sierpnia pozbawił kilku białych skóry na głowie (choć jeden był łysy), co dość szybko odbiło się echem po miastach i osadach białych. Najpierw sądzono, że chodzi jednak o izolowany incydent, ale cztery dni później Siuksowie zdobyli agencję rządową w Redwood zabijając 44 białych i biorąc tuzin z nich do niewoli. To już nie były żarty. Na dodatek, nazajutrz „wrzeszczący wojownicy” zdjęli skalpy z 16 martwych farmerów w New Ulm. Powstanie Siuksów zaczęło znaczyć pożarami wiele punktów doliny. Waszyngton zaczął odbierać telegramy z Minnesoty opatrzone wykrzyknikami.

Egzekucja w Mankato, 26 grudnia 1863 r.

Świąteczna atmosfera

Zanim nastała ta atmosfera, tysiące ludzi, rodzin białych osadników, salwowało się ucieczką, na szczęście na krótko. Gubernator wyznaczył pułkownika Sibleya, by z braku wojska zorganizował pospolite ruszenie, lecz osadnicy przegrali bitwę z oszalałymi Siuksami. Wtedy do gry wszedł sam gen. John Pop, głównodowodzący wojskami Północy i Zachodu, który kierował się racjonalizmem i nauką: sprytnym ruchem wziął do niewoli 1200 indiańskich starców, kobiet i dzieci i zapowiedział, że nie potraktuje tych zakładników lekko. Wtedy Siuksowie się poddali. Powstanie trwało raptem 37 dni. Lincolnowi doniesiono z charakterystyczną przesadą, że zacofani dzicy zabili 800 racjonalnych białych. Dziś mówi się o ok. 500 ofiarach Indian, ale to też nic pewnego.

Wkrótce nadeszła kolorowa jesień. Pułkownik Sibley osądził 303 wojowników zgodnie ze swoim sumieniem, wśród oklasków zebranych kolonistów. Resztę postanowiono osadzić w więzieniach i rezerwach w innych stanach, co miało oczyścić atmosferę, już szczerze radosną. Jeszcze biali mężczyźni – było ich ok. 700 – ruszyli na obóz więzienny dla Indian z siekierami i nożami (szkoda kul), by zrobić ostatnie przedświąteczne porządki, ale wojsko ich jakoś powstrzymało. Musieli zadowolić się drobnymi masakrami w rezerwacie i czekać na Święta. Ten prawdziwie amerykański happy end nadszedł wśród dzwonienia dzwoneczków, owego lodowatego poranka drugiego dnia Świąt, po którym wreszcie zdjęto prohibicję. Odtąd wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu